

Moj tekst z pierwszej wystawy w Paryżu w 1985 a następnie, przetłumaczony na polski, z wystawy w Muzeum Arcydiecezji w Warszawie w 1995 r

Piotr Dmochowski

Malarstwo poza wszelką treścią

Pokazując po raz pierwszy paryskiej publiczności obrazy Beksińskiego w 1985 roku, napisałem w małej broszurce towarzyszącej wystawie, że chodzi tu o „malarstwo poza wszelką treścią”. Dziś, w dziesięć lat później, przy okazji polskiej retrospektywy prac Beksińskiego z lat 1983-94 chcę powrócić do tego sądu i powtórzyć go z siłą na przekór wszystkim „literackim” komentatorom dzieła tego artysty.

Od wieków starano się używać estetyki w służbie religii, filozofii czy poglądów ideologicznych. W tym sensie zawsze była ona pełna „treści”. Zawsze była narzędziem w walce o ...

Zacznę od komunistów, chociaż nie oni zaczęli. Dla wszystkich adeptów marksizmu sztuka powinna być w służbie proletariackich mas. Przez pięćdziesiąt lat naszego wieku sloganem było: „precz ze sztuką burżuazyjną, której nie może zrozumieć lud. Niech żyje malarstwo, które może docenić prosty człowiek. Trzeba nam sztuki, którą może pokochać robotnik!” Wcale nie inaczej odbywało się to na Zachodzie w państwach demokracji liberalnej. Sztuka równie służyła wspierała tam ideologię. Z tą tylko różnicą, że propagowała miała bardziej „wzniosłe” ideały: postęp, naukę, technikę, prawa człowieka, wolność i ludzką inteligencję. Pokrywka również była zręczniejsza, mniej prostacka jak z tej strony „żelaznej kurtyny”. Ale słychać tam było te same bębenki i te same okrzyki: „Precz ze sztuką «pompiers», precz z socjalistycznym realizmem, precz ze sztuką przestarzałą, figuratywną,

uproszczoną, przeżytkiem historii. Niech żyje postępowa awangarda!”

Wszystko to oblane z jednej jak i z drugiej strony wyzwiskami, pogardą, agresywnością i arogancją. Sekciarze tu. Sekciarze tam. Sztuka w służbie każdej z tych dwóch ideologii była dla niej jedynie prawdziwą. Ta druga była nieuniknienie „zdegenerowana”.

Dziś komuni2:m zmarł. Koniec z zimną wojną. Na Wschodzie jak i na Zachodzie umysły wykluwają się powoli z żelbetonowych łupin i pozwalają sztuce żyć własnym życiem, nie żądając od niej żadnych „znaczeń”, nie przypisując jej funkcji, nie starając się jej zwerbować w służbie żadnej zbawiennej filozofii.

Toteż, może nareszcie krytycy przestaną widzieć w malarstwie Beksińskiego, w najlepszym wypadku protest przeciw komunizmowi a w najgorszym „przeżytek historii”. Bo takie to były komentarze francuskie w 1985 r.

Pragnieniem moim jest, żeby ta retrospektywa przekonała publiczność, że Beksiński nie ma nic wspólnego z ideologiczną, kulturową czy społeczną walką. Jego malarstwo nie walczy o nic. Ono jest „poza wszelką treścią” ideologiczną. To jest po prostu sztuka. To znaczy funkcja bezcelowa, która sama dla siebie jest usprawiedliwieniem, nie ma ani pochodzenia ani celu. Jak mawiali starożytni „pro arte” - „sztuka dla sztuki”.

O, nie jestem na tyle naiwny, żeby utrzymywać, iż o ile ta sztuka nie zawiera żadnej treści, to żadna treść się za nią nie kryje. Część kultur/ krajów

uropy Wschodniej, a zwłaszcza polskiej, jest tam zakodowana. Tak jak jest tam zakodowana psychika Beksińskiego i nasza własna. W tym znaczeniu jest tam pełno rzeczy do odkrycia o artyście i o nas samych. Ale jak je odkryć? I jak je opisać nie wpadając w odpustową psychoanalizę? Jak uniknąć banałów o „Polsce, która tak cierpiała”? Jak znaleźć słowa, które nie skarlowiącej w spotkaniu z tym potężnym malarstwem?

Wydaje mi się, że jedynym wyjściem jest dać się ponieść olśnieniu. Tak więc mówię i powtarzam: nawet jeśli za tym halucynacyjnym malarstwem kryje się cały świat znaczeń, jedyne co można zrobić w spotkaniu z nim to nie mówić nic. A zwłaszcza nie doszukiwać się w nim psychoanalitycznych, historycznych czy narodowych treści.

Beksiński o sztuce wyraża się w sposób krótki, bo wnikliwie umysły zmierzają ku prostocie. Rozmowa z nim o malarstwie (jego czy cudzym) ogranicza się do minimum: „lubię” — powie na widok jakiegoś obrazu, albo „nie podoba mi się”. „Klawe” lub „nie klawe”.

Na początku wydawało mi się, że to nie wystarczy; że można oczekiwać czegoś więcej ze strony wielkiego artysty. Toteż zasypywałem go pytaniami: „a dla czego to?”, i „co myśleć o tym?” W ten sposób zarejestrowałem na magnetofonie ponad dwieście godzin rozmów z nim, które potem spisałem. Były to rozmowy o wszystkim: o sztuce, o życiu, o jego poglądach...

Po co? Dziś już wiem, że nie na wiele się to przydało. Tajemnica jego twórczości pozostaje dla mnie równie głęboka jak była nią gdy po raz pierwszy się z nią spotkałem. Nie „rozumiem” jej lepiej niż ją „rozumiałem” dwadzieścia lat temu, gdy po raz pierwszy odkryłem obrazy Beksińskiego w łódzkim BWA. A przecież mój podziw nie zmalął ani o jotę. No to po co „wyjaśnić”? Czy nie lepiej nie mówić nic? Albo ograniczyć się do wykrzyknika „to nad — zwy-czaj — ne” jak to napisał w 1985 roku pierwszy spektator pierwszej francuskiej wystawy Beksińskiego? W życiu artysty, w jego psychice (przynajmniej tej świadomej), w jego kulturze, w jego wykształceniu, w jego „ludzkiej tragedii” (przez jaką wszyscy przechodzimy) nie można się doszukać odpowiedzi na pytanie, „skąd to malarstwo?” I w tym znaczeniu również nie ma w nim „treści” lub, lepiej mówiąc, jest ono poza wszelką treścią, którą można by zwerbalizować.

Beksiński nigdzie nie podróżuje. Nigdy nie zwiedzał wielkich muzeów europejskich czy amerykańskich. „Po co?” - odpowiedział mi pytaniem na pytanie

gdy sugerowałem, że to zakrawa na „prowincjonalizm”. Bo rzeczywiście, po co? Źródła jego inspiracji nie należy się doszukiwać u takiego czy innego artysty, w takim czy innym prądzie malarskim i nie warto się w nim dopatrywać wpływu X-ińskiego czy Y-greka. Takiego wpływu po prostu nie ma. To malarstwo jest jedyne bo nie nawiązuje do niczego poprzedniego. Nawet natura go nie inspiruje bo Beksiński nigdy nie maluje z modelu. „Ani boga ani władcy” - a wszelka wspólnota z innymi artystami jest tylko przypadkiem.

Nie ma więc po co doszukiwać się w jego obrazach echa surrealistów, z którymi się zetknął w ..., albo symbolistów, których odkrył podczas podróży do ..., ani romantyków, których obrazy spotkał w muzeum w... Najprawdopodobniej, jeśli Beksiński już przez przypadek wpadł na reprodukcje ich prac w jakimś albumie, na okładce płyty gramofonowej czy na pocztówce, to po to tylko, żeby je szybko odłożyć na bok. Bo odkrycie, że już ktoś przed nim przemierzył tereny jego własnego poszukiwania wysuszyło by źródło jego inspiracji. I w tym więc również sensie poszukiwanie „treści”, nawiązań, reminiscencji czy koligacji w malarstwie Beksińskiego jest wysiłkiem skazanym na niepowodzenie. To malarstwo jest ponad wszelką uchwytną treść w historii sztuki.

Ten wnikliwy umysł unika sądów wymyślnych i „uczonych”. Według niego malarstwo nie dzieli się na „minimalistyczne”, „ubogie”, „konceptualne”, „figuratywne”, „abstrakcyjne”, „faszystowskie”, czy jakieś tam inne. Tego typu podziały nudzą go i odmawia wszelkiej polemiki na ten temat. Na początku zdziwiło mnie to i zadawałem sobie pytanie czy nie kryje się za tym ignorancja. Jakże go dziś rozumiem! Bo prawdziwy podział w sztuce nie znajduje się w formach jakie przyjmują artyści ale w uczuciach jakie przeżywają widzowie. Tak więc, jak mi to mówił od początku, sztuka dzieli się na trzy i tylko trzy rodzaje: dekoracyjną, formalną i ekspresywną.

Wśród spektatorów są więc tacy, którzy lubią milutkiego Renoira czy Moneta; tacy, dla których pozbawiony wszelkiego wyrazu monochrom Kieina, lub pusta puszka po konserwach Beuysa są szczytem osiągnięć w sztuce, i tacy, którzy wszystko by oddali za jeden obraz Bacona czy Velickovica.

Otóż malarstwo Beksińskiego, to wczorajsze jak i to dzisiejsze, nawiązuje do tej trzeciej tradycji. Jego formy zmieniają się. Wczorajsze pejzaże, pełne szczegółów ustępują dziś miejsca oszczędnym, prawie abstrakcyjnym postaciom na płaskim tle. Ale wrażenie jakie wydobycie się z obrazów jest zawsze takie samo - niesamowite. Ci, którzy lubią się w sztuce „doczytać” treści, jak i

ci, dla których gra form wyczerpuje całą jej istotę będą zawiedzeni niniejszą retrospektywą. Bo naczelną siłą obrazów Beksińskiego są emocje, a nie treść i nie forma.

Wyrażeniu „malarstwo poza wszelką treścią” nadaję jeszcze inne znaczenie: ponieważ ta sztuka skierowana jest do wrażeń i do emocji, nie potrzebuje ona żadnych wyjaśnień, które by pozwoliły ją „zrozumieć”.

To, co charakteryzuje sztukę formalną, to to, że jest ona niepojęta tak długo, jak długo nie jest „wyjaśniona” przez samego artystę lub przez egzegetów, których zadaniem jest odkryć jej strukturę intelektualną. Dopóki dzieło formalne nie zostało opatrzone długim, skomplikowanym, „uczonym” wyjaśnieniem, tak długo nie „znaczy” nic. Słowo, dyskurs, są więc jedynymi kluczami, które pozwalają dotrzeć do ich głębi. Bez słowa, bez uczonego, wymyślnego, skomplikowanego dyskursu, sztuka formalna jest tylko możliwością, potencjalną propozycją.

W tym znaczeniu sztuka formalna jest „gadatliwa”, „anegdotyczna”, pełna treści i znaczeń. To ona właśnie jest sztuką „literacką”, to znaczy taką, której nie sposób „zrozumieć” dopóki się nie połknęło uprzednio całej „literatury”, która ją wyjaśnia. Ktoś kto chce „zrozumieć” Opalkę i jego niekończące się robótki na drutach nic z nich nie „zrozumie” dopóki nie przeczytał wymyślnych wywodów artysty i popierających go krytyków. Malarstwo formalne ginie bez obszernych, obfitych i gadatliwych dyskursów, które mają za zadanie napełnić je treścią. Bez nich pozostaje puste jak stara, zardzewiała beczka. Na to, żeby istnieć choć chwilę, choć chwilę być zauważonym wymaga nieustannego dyskursu „off” swego twórcy lub egzegetów.

I w tym znaczeniu malarstwo Beksińskiego jest poza wszelkimi znaczeniami, poza wszelką treścią. Bo czy ogląda je prosty chłop, czy też najwikwintniejszy intelektualista, jeden i drugi - zaraz, natychmiast, od pierwszego spojrzenia „pojma” je do samego sedna. Postrzeżenie tego malarstwa przez spektatora nie wymaga żadnej racjonalizacji przed, podczas ani po spotkaniu się z nim, i to ani ze strony widza, ani ze strony artysty, ani ze strony teoretyka. To malarstwo emanuje czystym uczuciem, które nie wymaga żadnego gadulstwa, żeby dotrzeć natychmiast, bezpośrednio do serca. Ono przemawia samo za siebie i nikt go nie musi wyjaśniać ani bronić. Ono po prostu jest.

Paryż, 6 marca 1995 r.